

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12—2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Dwie rocznice.

Dnia 25 września naród litewski obchodził uroczyste 550-tą rocznicę zgonu w. księcia Kiejstuta. Ani data zgonu nie jest ściśle ustaloną przez historyków, ani też okres pięciuset pięćdziesięciu lat nie posiada tradycyjnego charakteru jubileuszowego. Już z tych względów chociażby obchód rocznicy Kiejstutowej nie mógł być tak efektowny i nie mógł przybrać takich rozmiarów, jak obchód rocznicy Witoldowej przed dwoma laty.

Są jednak i głębsze różnice między temi dwiema rocznicami. Kiejstut jest bohaterem litewskim *narodowym*, wówczas, gdy Witold jest uosobieniem idei *państwa litewskiego* o aspiracjach mocarstwowych. Kiejstut jest symbolem Litwy etnograficznej, Witold zaś wyobrazicielem Litwy różnoplemiennej i różnojęzycznej, sięgającej od morza do morza. Oblicze duchowe Kiejstuta jest bliskie Litwinowi rdzennemu, postać Witolda jest, a przynajmniej powinna być drogą każdemu mieszkańcowi W. Księstwa Litewskiego, niezależnie od narodowości i wyznania.

Aby zrozumieć różnicę między ojcem a synem trzeba sięgnąć do historii.

Jak wiadomo, po śmierci Gedymina i krótkich rządach nieudolnego jego następcy Jawnuty na wielkoksiążęcej stolicy litewskiej zasiedli dwaj kochający się bracia Olgierd i Kiejstut, a sprawowali rządy zwierzchnicze tak jednolicie i zgodnie, że zagranicą nie wiedziano nawet, kto z nich właściwie w Litwie panuje.

Starszy Olgierd zamieszkał w Wilnie, młodszy Kiejstut obrał sobie siedzibę w pobliskich Trokach. Ścisły ten związek, łączący obu braci-władców, obu „królów litewskich”, jak zwano ich pospolicie, trwał nieprzerwanie aż do śmierci Olgierda, którego Kiej-

stut przeżył. Wybitny ów przykład braterskiej miłości, któremu — jak pisze prof. J. K. Kochanowski, — równego trudno znaleźć w dziejach, sprawił, że współrzędy obu Gedyminowiczów jednym brzmiały życiem i posiadały wspólne tętno ideałów, zarówno w zakresie polityki wewnętrznej jak i dyplomacji.

Tradycja epok ubiegłych wskazywała obu panującym politykę odporną względem Niemców, a zaborczą względem Rusi; Olgierd i Kiejstut trzymają się też stale tego kierunku. Zakres jednak polityki wewnętrznej wymagał również uwzględnienia odpowiedniej tradycji. Nauczała ona, że o ile z jednej strony należało Litwie zorganizować się na wzór wrogów, by móc skutecznie im przeciwdziałać, a więc — wznieść się na pewien niezbędny w swej epoce i otoczeniu poziom chrześcijańskiej kultury wieku, o tyle znowu z drugiej strony nakazywała też sama tradycja litewskim władcom powstrzymanie się od przemian radykalnych, ze względu na barbarzyństwo i silne w swem pogaństwie, a odśrodkowe instynkty tłumów.

Położenie granicznej z Europą a pogańskiej Litwy było jeszcze w wieku XIV tak wyjątkowe, że wyjątkowych też wymagało środków, aby interesom jej uczynić można było zadość. Litwa potrzebowała przywódcy, któryby wzrastającym wymaganiom wieku i otoczeniu mógł sprostać.

Dwuosobowy przywódca taki znalazł się właśnie w dualistycznym związku obu Gedyminowiczów, mających zaradzić potrzebom kraju wspólnymi siłami. W braterskich współrzędach bowiem odzwierciedlał chrześcijański duchem Olgierd, żonaty z Rusinką, chrześcijanina, szermierza postępu i kultury na litewskim gruncie. Kiejstut, którego domowego znicza strzegła w Trokach pogańska kapłanka Biruta, był odbiciem pogańskiej części dawnych władców i reprezentantem prastarej tradycji i wierzeń litewskiego ludu.

Hasłem, jednoczącym we wspólnych usiłowaniach obu braci, hasłem o tyle gorętszem, że wpływającym zarówno z tradycji, jak z potrzeb i interesów chwili, było: energiczne odpieranie Niemców i ekspansja w kierunku ziem ruskich. Tą kierował Olgerd oraz sprawował wewnętrzne rządy kraju, Kiejstut zaś staczał ustawicznie boje z krzyżakami, dążącymi za wszelką cenę do podboju Żmudzi. Niewygody obozowego życia, awanturnicze wyprawy wojenne, niebezpieczeństwa i walki, przeplatane niewolą u wrogów: to męczeńsko-bohaterskie pasmo dni w. księcia Kiejstuta, strzegącego swej Litwy pogańskiej. Olgerd był przede wszystkim politykiem, Kiejstut niemal wyłącznie wojownikiem, tym sposobem obaj bracia wzajemnie się uzupełniali.

Witold stanowi poniekąd ich syntezę. Talent militarny i nastawienie antyniemieckie swego ojca łączy ze zdolnościami politycznymi i zainteresowaniami wschodnimi, oddziedziczonymi po stryju. Prostolinijny patryjotyzm litewski Kiejstuta w połączeniu z giętkością i rozmachem Olgerda znalazł swój wyraz w ogarniającej szerokie horyzonty polityce Witolda, mającej na celu wywyższenie, potęgę i wielkość Litwy.

Składając hołd pamięci ostatniego władcy pogańskiej Litwy naród litewski czci w nim swój ideał narodowy: rycerza bez skazy, miłującego nade wszystko swój kraj i swój lud, dawne zwyczaje i tradycje, nieustępliwego, wytrwałego, dążącego do celu prostą drogą, niezdołnego do żadnych kompromisów. Natomiast obchód Witoldowy był zarówno manifestacją odradzającej się państwowości litewskiej, jak wspomnieniem minionej świetności Litwy historycznej. Dwie postacie—dwie idee, dwa symbole oraz dwie różne swym charakterem i znaczeniem uroczystości współczesne.

Cudzym kosztem.

Z kół białoruskich otrzymujemy poniższe, przepojone gorącą uwagą, którym trudno odmówić słuszności. Red.

Blok Bezpartyjny nie ma szczęścia do Białorusinów. Po przeprowadzeniu ostatnich wyborów skonstatowano, że pomimo udziału Białorusinów w wyborach i głosowania ich na sanację, brakuje przedstawicielstwa białoruskiego w klubie BB. Jak się to stało—pomyśli ten i ów,—że z rdzennej Białorusi przeszli sami Polacy? Coś tu nie w porządku z temi wyborami. A później po zwołaniu sejmu okazało się, że posłowie Białorusini byłiby wcale a wcale na miejscu. Czy w Warszawie, czy w Genewie, zawsze rządowi przyjemnieby było usłyszeć głos białoruski o „czynnej lojalności“, o przywiązaniu do Polski itp. A tu raptem cicho jak makiem zasiał.

Dość, że Białorusini stali się potrzebni w Sejmie, a że potrzeba jest, jak wiadomo, matką wynalazków i wszelkich pomysłów, postanowiono rozpocząć poszukiwanie Białorusinów na terenie sejmowym wśród posłów BB. I odnaleziono. Złośliwi twierdzą, że nawet nie szukano, lecz wprost wyznaczono, inni utrzymują znowu, że zaproponowano zgłaszać się na ochotnika. Tak lub owak obecnie są w BB Białorusini z panem Genadjuszem Szymanowskim na czele.

Co miał dotychczas p. Szymanowski wspólnego z życiem białoruskim, tego on sam narazie ustalić nie zdołał i napewno nie zdoła. Jest to człowiek Białorusinom całkiem nieznany, chociaż mieszkając w tym kraju powinien być mieć okazję i potrzebę dać się poznać jako Białorusin, zanim trafił na fotel poselski. Narazie wiadomo o nim tylko to, że nawet nie włada językiem białoruskim. Wszystko to nie przeszkadza mu obecnie reprezentować Białorusinów i prowadzić swoistą akcję w terenie przy pomocy swoich kolegów posłów z BB. Rozpoczęło się to od reorganizacji gimnazjów białoruskich oraz organizowania bursy im. Hołówki w Nowogródku. Najwyraźniej ci panowie zamierzają odegrać rolę „spadkobierców“ po posłach białoruskich poprzedniego Sejmu, biorąc w opiekę budujący się gmach bursy białoruskiej w Nowogródku.

S. KAPNYS.

Człowiek bez twarzy.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(Dokończenie).

Ci starzy znajomi zaczęli odwiedzać Irkę. Jonajtis już nie uczęszczał więcej ze swą rozbawioną najdroższą do miejsc rozrywkowych; usilna praca partyjna i troska o chleb powszedni pochłaniały go całkowicie. Lecz jego obecność była niepotrzebna; przyjaciele Irki bardzo chętnie go zastępowali. Irka prawie co wieczór wychodziła z domu upudrowana, naperfumowana. Wraciała późno w nocy i spała aż do południa. Pieniądze w jej rękach zaczęły topnieć, znikając bez śladu. Pewnego razu, niby przypadkowo, wspomniała, iż jest jej potrzebna znaczniejsza suma. Jonajtis mocno zarumienił się, rozpostarł ręce i, jakajac się, odparł:

— Daruj, ja tyle nie mam...

Poszukał w kieszeni, wyciągnął monetę półrublową. Jeszcze bardziej zmieszał się i odparł:

— Wieczorem postaram się przynieść.

I przyniósł. Zachmurzona Irka wzięła pieniądze, lecz od tego czasu więcej o nic nie prosiła.

Ciche, skromne mieszkanie Jonajtisa stało się hałaśliwym pudełkiem, do którego ktoś zamknął cały rój os; stale w niem było pełno wesołych gości. Irka częstowała ich, gawędziła z nimi, przekomarzała się, żartowała, śmiała się, jak ryba pływała w toni dowcipnych dialogów. Stale kręcił się przy niej płowowłosy młodzieniec z brzoskwiniewymi policzkami. Irka drażniła go, męczyła, drwiła z niego, lecz inni mężczyźni zazdrościli mu, bo czuli, iż ona przeznaczyła go sobie na partnera. Jonajtis wróciwszy z pracy, wyglądał, jak intruz, który niechcący znalazł się w towarzystwie obcych sobie ludzi. Zaszywał się w kąt, lub pod różnymi pretekstami wychodził z domu.

Dwa dni i dwie noce Irka, wyszedłszy z całym towarzystwem, nie pokazywała się w mieszkaniu.

Trzeciego dnia, po południu przyszła i znalazła

I tu na wstępie panowie posłowie odsłoniли swe prawdziwe intencje w stosunku do sprawy białoruskiej. Mianowicie w budującej się bursie według ich projektu, mają się wychowywać dzieci białoruskie wespół z polskimi.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się nic w tem niema zdrożnego. Przeciwnie, skoro zgodne współżycie narodowości w naszym kraju jest b. pożądane, dlaczegożby nie dać możliwości poznawania się wzajemnego nietylko w murach samej szkoły, ale i w internatach przyszkolnych? Nic przecież tak młodzież ze sobą nie zbliża, jak wspólne przeżycia przy wspólnej pracy. Zaprzyjaźnienie się dwóch osobników na ławie szkolnej lub w internacie stanowi najczęściej o przyjaźni na całe życie, mimo różnic narodowościowych, religijnych i stanowych. Takie zapoznanie się i przyjaźń w młodości w wielkiej mierze przyczynia się do wzajemnego zrozumienia i w wieku dojrzałym. Szczególne to ma znaczenie, jeśli się weźmie pod uwagę obecny przymus szkolny w odniesieniu naprzykład do szkolnictwa powszechnego.

Niestety, praktyka lat ostatnich wykazała, że u nas takie założenie przy stosowaniu wszelkiego utrakwizmu było tylko maskaradą dla przysłonięcia zupełnie innych celów. Szkolnictwo powszechne polsko-białoruskie było niczem innym jak przejściową formą do spolszczenia szkoły nawet takiej, gdzie żadnego dziecka polskiego nie było. Stało się to tak cicho i gładko, że nawet sami Białorusini w Wilnie tego nie spostrzegli. Wielu z nich myśli, że szkoły utrakwistyczne prosperują i rozwijają się do dnia dzisiejszego, gdy tymczasem zostały one zlikwidowane niewiedzieć jak i kiedy. Przy istniejącym kursie politycznym, staraniach gorliwych nauczycieli oraz słabem uświadomieniu narodowem rodziców, władze szkolne miały zadanie dosyć łatwe.

Trudno dziś oprzeć się wrażeniu, że p. Szymanowski i jego najbliżsi koledzy zapragnęli stosować już gotowe i wypróbowane wzory. Wystarczy je tylko ze szkoły przenieść jeszcze na teren gimnazjów białoruskich i burs szkolnych. Jak będzie wyglądała taka polsko-białoruska bursa w Nowogródku—przewidzieć nie trudno. Przedewszystkiem postaranoby się, by t. zw. mniejszość narodowa nie stanowiła większości, zaś kierownictwo spoczywałoby w rękę

osób, które traktowałyby dzieci białoruskie jako nieuniknione zło. Ze strony zaś uczniów polskich należałoby oczekiwać traktowania swych kolegów białoruskich takiego samego, jakie widzimy w starszem społeczeństwie, t. zn. lekceważącego i pogardliwego. Dzieci białoruskie, któreby w tych warunkach nie uległy polonizacji i zachowały swoją białoruską indywidualność, musiałyby przesiąknąć do szpiku kości nienawiścią nietylko do swoich współlokatorów Polaków, ale i do wszystkiego co polskie.

Ale w projekcie organizacji bursy im. Hołówki w Nowogródku jest jeszcze inny moment, który już zdążył oburzyć do głębi wileńskie koła białoruskie. Jak wiadomo bowiem, dzięki staraniom posłów białoruskich poprzedniego sejm uchwålono z budżetu państwowego 200 tys. złotych na budowę bursy białoruskiej w Nowogródku, a więc nie białorusko-polskiej. Z sumy tej rząd wypłacił tylko 70 tys. zł. Pozatem, dzięki ofiarności białoruskich chłopów okolicznych, zwieziono cały potrzebny na budowę materiał, nie szczędząc razem z uczniami biał. gimnazjum w Nowogródku i innej pracy bezinteresownej celem wzniesienia dawno oczekiwanej i bardzo potrzebnej bursy. Nie koniec na tem. Pomimo kompletnej ruiny gospodarczej wsi białoruskiej, składano również ofiary w gotówce.

Zdawałoby się, iż w tych warunkach nikomu do głowy nie przyjdzie narzucać nowe pomysły, przekreślające cele faktycznych założycieli, tymczasem znalazło się grono posłów z p. Szymanowskim na czele, którzy dla usprawiedliwienia swej samowoli powołują się na ideologję tragicznie zmarłego Hołówki, zdecydowanego, jak wiadomo, przeciwnika wszelkich samodzielnych placówek białoruskich.

Można mieć taki czy inny pogląd na działalność ś. p. Hołówki, można żywić szczery, lub tylko nakazany, oficjalny kult dla jego pamięci i zakładać placówki kulturalno-oświatowe jego imienia. Niepodobna natomiast zabierać Białorusinom budynek, przeznaczony wyłącznie dla nich i nietylko ich staraniem, ale ich kosztem i własnoręczną pracą budowany. Dodać należy, że ofiary zebrane pośród Białorusinów na budowę bursy, nie były tak małe, jak to złośliwie i nieprawdźiwie informuje „Słowo”. Dlatego pomysł grupy posłów z BB należy zakwali-

szarą plamę—Jonajtisa. Nie zdjąwszy płaszcz usiadł. Jonajtis, unikając jej wzroku, zgarbiony, jak gdyby wstydząc się czegoś, milczał. Irka podskoczyła, wparła się rękami w boki i prowokująco krzyknęła:

— Czego milczysz? Przeklinaj, krzycz, bij! Wy wszyscy tak robicie! Wszak wiesz,—stało się!

Jonajtis zakaszlał raptem aż do łez. Kaszel przeszedł, lecz z kątów oczu woda płynęła jeszcze. Potem jakaś wewnętrzna siła naprężyła mu żyłę na czole i wysuszyła łzy.

— Mazgaju rogaty! Wygląda, że to ty spędziłeś dwie gorące nocki z kochankiem, a nie ja! Dobroduszny, szlachetny! Może nawet masz zamiar błagać mię o przebaczenie za to, iż ci przyprowadziłam rogi?! Baranie, mazgaju, idjoto, czemuś mię nie powstrzymał, nie przestrzegł, póki jeszcze nie było za późno? Ja ciebie porzucam, jak znoszony pantofel!

Ostatniem słowem Irki był jej list. Duże, tłuste, krzywe litery wiły się przed jego oczami: „Dużo razy niemiłosierne ręce rzuciły mną, jak przylepioną do nogi łupiną. Chyba rzadko kto wie tak dobrze,

jak ja, co to jest męka rozstania, wzgarda ukochanej usoby, a jednak ja ciebie niewinnego, któryś mi podał rękę w ciężkiej godzinie życia, tak skrzywdziłam okrutnie. Twojem przeznaczeniem jest — być krzywdzonym, bo tyś — święty... Tak. Z tobą żyć nie można. Ciebie trzeba ignorować lub czcić, jak bóstwo. Każdy, kto stanie przed tobą, jeżeli nie zauważy oczu, czuje się, jak robak przed ogromną górą. Tyś jest nieubłagany, żywy wyrzut za wszystkie marnostki i błahostki, któremi ja jestem przepelnioną. Z tobą zrównać się nie można... I rodzi się uczucie strasznej nienawiści do ciebie... Ten mój list — ostatni promyk słońca... Nie proszę ciebie o przebaczenie, bo ja sama sobie nie mogę wybaczyć... Lecz inaczej postąpić nie mogę. Irka”.

IV.

Przeżyty dramat nie odbił się ujemnie na pracy, która płynęła dalej równo swoim łożyskiem. Jonajtis zawsze był na swoim miejscu, jak tom encyklopedji na półce, w każdej chwili gotowy objaśnić

fikować jako conajmniej nieprzyzwoity i mocno krzywdzący właściwych gospodarzy bursy nowogródzkiej. Jeżeli więc p. Szymanowski i & chcą upamiętnić swe nazwiska, niech swoją energję skierują w inną stronę. Zamiast korzystać z cudzej inicjatywy, chwalebniej byłoby budować nowy obiekt od fundamentów i na własny koszt czy z kredytów ich staraniem zdobytych.

Wtedy nikogo nie zadziwi nawet napis: bursa imienia p. Szymanowskiego.

Obecnie zaś, gdy pod hasłami współzycia i wychowania państwowego dąży się otwarcie do wynarodawiania Białorusinów, trudno wymagać od tych ostatnich gościnności i uprzejmości wobec intruzów. Taka kurtuazja może panować tylko u naprawdę „wolnych” i „równych”. Narazie do białorusko-polskiej sielanki droga daleka i niewidoczna. A polsko-białoruska grupa w BB robi co może, by ją jeszcze trudniej było odnaleźć.

S-wicz.

Już w zeszłym roku można było zaobserwować wyraźne zubożenie, zarówno ze strony społeczeństwa polskiego w Wilnie, jak też czynników oficjalnych, względem obchodzonej jeszcze przed kilku laty z nadzwyczajnym zapalem rocznicy wkroczenia zbuntowanych oddziałów gen. Żeligowskiego do stolicy Litwy, która miała niebawem otrzymać miano „Środkowej”.

W tym roku, dwunastym z rzędu, mimo przypadającej w dniu rocznicy niedzieli, nie urządzono żadnego obchodu, jeżeli nie liczyć uroczystości wojskowej na cmentarzu w wigilję rocznicy. Artykuły okolicznościowe w prasie miejscowej wypadły również blado, a niektóre nie były pozbawione nawet pewnej dozy melancholji.

Zbyt jaskrawa jest różnica między smutną rzeczywistością a różowemi nadziejami, jakie pokładano doniedawna w czynie gen. Żeligowskiego oraz w wynikających zeń konsekwencjach, by można było sobie pozwolić na radosne fanfary. Dysonans byłby zbyt przeraźliwy nawet dla tępych uszu „bogoo;czyźnianego” Wilna.

Ale milczenie i apatja nie są jeszcze równoznaczne z opamiętaniem i przyznaniem się do błędu.

Miejmy nadzieję, że przyjdzie czas i na nie.

treść niezrozumiałego słowa, jak wiernie kręcące się kółko maszyny, pomagające wprawić w ruch cały mechanizm.

Gdyby kto zajmowałby się statystyką prac, wykonanych przez Jonajtisa, to zauważyłby, iż w tym okresie, gdy ukochana przez niego kobieta, sama będąc winna, plunęła mu w twarz, rozwinął on energję i działalność do ostatnich granic sił ludzkich.

Lecz wszyscy członkowie partji uważali za swój obowiązek jaknajwięcej pracować w imię idei i przyszętego szczęścia ludzkości, a nie urządzać rekordowe zawody, które śledzą reporterzy, uzbrojeni w aparaty fotograficzne. Ci, którzy pobijali rekord, napewno nie chcieliby pokazać się ciekawej publiczności. Najjaśniejszy Pan postarałby się, oczywiście, nagrodzić ich prawdziwie po carsku... szubienicą. Władza pomazańca, nie lubiła konkurencji, wszystko starała się zmonopolizować: zarówno dobroczynność, jak prawo rabowania. Sama rabowała, ile tylko chciała, lecz innym pozwalała tylko... w ramach ustawodawstwa. Dobroczynność również była prze-

Bez skrupułów.

Powszechnie przypisywane są Wolterowi cyniczne słowa: „*Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelquechose*”. (Szkalujcie a zawsze coś z tego pozostanie).

Ze Wolterowi jego nienawiść do Kościoła mogła podyktować tak niecne wezwanie, jest to zupełnie zrozumiałe. Ale jak nazwać człowieka, który z Kościołem nie zerwał, uchodzi za pisarza katolickiego a nawet występuje w tym charakterze na zjeździe katolickich pisarzy, jednocześnie zaś zwalcza poczynania misyjne tego Kościoła i to metodą Woltera, nie zaprzestając tego czynić nawet wtedy, gdy Papież potępił ostro zwalczanie akcji unijnej? Taki podstępny i fałszywy „przyjaciel” jest stokroć szkodliwszy od otwartego wroga Kościoła.

Pisząc to mam na myśli „katolickiego” publicystę ze „Słowa” p. W. Charkiewicza, którego metody zwalczania unijnistycznej akcji, prowadzonej na naszych terenach—nie mogą nie wywoływać oburzenia.

Można względem tej akcji mieć te lub owe zastrzeżenia, można ją uważać za pożyteczną lub szkodliwą, można wreszcie ją krytykować, lecz nie wolno postugiwać się w walce z nią kłamstwem i insynuacją.

A właśnie p. W. Charkiewicz coraz bardziej staje się niewybrednym w wyborze środków, co jest dowodem, że chodzi mu nie o uwzględnienie w akcji unijnistycznej aspiracji narodowościowych ludności naszego kraju, lecz; o bezwzględne zwalczanie obrządku wschodniego. Do celu tego p. W. Ch. dąży za pomocą dyskredytowania akcji unijnej, alarmowania opinii przesadnemi informacjami o niepowodzeniach i błędach w tej akcji, rozsiewania o niej złośliwych i oszczerczych plotek, zabarwiając wszystkie te actualia swemi pseudohistorycznemi wywodami.

Wystarczy zajrzeć do dwóch ostatnich artykułów p. Charkiewicza.

W pierwszym p. t. „Polska a zagadnienie unji kościelnej” („Słowo” Nr. 369), autor narzekając na nieprzychylnie stanowisko względem Polski ze strony

widziana w programie jej działalności, lecz odłożono ją do... dnia wprowadzenia nowego kalendarza; wskutek czego i sama nie czyniła dobrze i nie wydała jeszcze ustawy, na mocy której drudzy mieliby prawo tak postępować. Wszystkich, którzy działali nie podług ustawy, car karał; i pospolitych bandytów przydrożnych, i troszczących się o szczęście ludzkości idealistów. Idealistom dawał siakie takie przywileje: przeważnie skazywał ich na śmierć (bandytom dawał 25 lat katorgi). Dlatego to członkowie partji pracowali, ile mogli, lecz nie chwalili się swą pracowitością. Jeżeli jeden działał więcej, a drugi mniej — to wynikało z różnic indywidualnych; czyż może być winien garnek litrowy, że mieści mniej wody niż ceber?

Śruba ślepego egoizmu i nienasyconej chciwości zaczęła tak przyciskać, że aż kości trzeszczały. Tępe odretwienie nędzy gdzie-niegdzie zaczęło się przechodzić w opór. Tu i ówdzie z podziemia rozlegał się wybuch, niosący śmierć ciemności i uciemionym. Okute ręce poomacku szukały drogi, która wyprowadziłaby z nędzy i ciemności. Usłyszane, niejasne,

zagranicznych czynników unijnych i podkreślając jego niesłuszność, wskazuje na Unję Brzeską jako przykład inicjatywy i gorliwości polskiej w tej dziedzinie, podkreśla jej fiasko i niemoc wewnętrzną, utrzymując, że tylko zakaz papieża, wstrzymujący przejście unitów na obrządek łaciński uchronił Unję od wcześniejszego upadku. Panu Ch. nie obce są przyczyny, dla których były wydawane wspomniane bulle, zna on również rozsiane w archiwach skargi metropolitów unickich i duchowieństwa na prowadzoną przez duchowieństwo łacińskie akcję, zmierzającą do przeciągania unitów na obrządek łaciński. Wie wreszcie, że tej akcji jeżeli nie w zupełności, to w b. dużej mierze zawdzięcza Unja swoją słabość. Ale autor dyskretnie to przemilcza, bo chodzi mu tylko o wykazanie niewłaściwości, a nawet i szkodliwości na naszych terenach akcji unijnej. Chcąc zaś nadać wagę swym twierdzeniom stara się znaleźć sojusznika... w św. Kazimierzu, cytując „jednego z najwybitniejszych współczesnych hagiografów” ks. Władysława Staicha, który pisze:

„Święty Kazimierz... „wszystkie swoje starania wysłał ku temu, aby wschodnie kresy państwa zasiał jak najgęściej kościołami łacińskimi. Na kolanach zaś błagał ojca o wydanie rozporządzenia, zakazującego poprawiania walących się cerkwi unickich, a jeszcze surowiej zakazującego stawiania cerkwi nowych.

Wszystkie dotychczasowe w tym względzie zabiegi Polski w Rzymie zmierzały do tego, aby unję na Litwie i Rusi na wszelki sposób utrzymać. Święty Kanclerz jest innego zdania”...

Co do naukowej wartości t. zw. „testamentu św. Kazimierza” autorstwa ks. Staicha, to kompetentni krytycy oceniają ją nie o wiele wyżej od elekcji p. Ch. (O tem zresztą wkrótce ukaże się odpowiednia fachowa praca).

Z twierdzeniem ks. Staicha nie zgadza się też wzmianka o żywocie św. Kazimierza, znajdująca się w łacińskim brewjarzu kapłańskim (na dzień 4 marca), gdzie czytamy: „Starał się ze wszelkich sił szerzyć wiarę katolicką i wyniszczyć schyzmę ruską, dla tego wpłynął na ojca (swego) Kazimierza, by ten wydał prawo, by schyzmatycy nie wnosili nowych świątyń, ani odnawiali stare rujnujące się”.

To przecież zgola co innego.

Jak wiadomo w książce litewski Kazimierz Ja-

giellończyk, w epoce soborów bazylejskiego, oraz ferraro-florentyjskiego był po stronie antypapieża Feliksa i z twórcą Unji florentyjskiej pap. Eugenjuszem IV stosunków nie utrzymywał. W tych warunkach przybycie na Litwę, po ucieczce z Moskwy metropolity Izydora spotkało się z chłodnym przyjęciem ze strony w. księcia (nie bez wpływów bisk. wil. Macieja z Trok), co zmusiło władzę do wyjazdu do Rzymu (1442). Pobyt Izydora na Litwie był bardzo krótki, tak że właściwie mowy być nie mogło o jakimś utwierdzeniu Unji, tembardziej wobec nieprzychylności dworu.

Po Izydorze metropolja kijowska przez 8 lat nie była obsadzoną. Od roku 1451—58 rządzi nią dyzuniński metrop. moskiewski Jona. Od r. 1458 jest metropolitą unita Grzegorz II, rządzi metropolją lat kilkanaście. O stosunku jego następców do Rzymu, za wyjątkiem metrop. Mizaela (1476—77) nic nie wiadomo, natomiast wiadomo, że brali swą prowincję kanoniczną z Konstantynopola.

Żeby św. Kazimierz (1459—1484) był wrogiem unji—na to dowodów brak. Przeciwnie nie wykluczonem jest, że właśnie za czasów Mizaela, jako 17 letni młodzieniec wyjednał zakaz budowania i odnawiania cerkwi schyzmatycznych, gdyż są dane, że w tym okresie unja nie była całkowitą, jak to można wnioskować z listu metropolity do papieża Sykstusa II z prośbą o rozciągnięcie przypadającego jubileuszu na Ruś. Na owym liście brak podpisów innych biskupów, natomiast są podpisy 2 archimandrytów, książąt i magnatów. Świadczą o rozroście schyzmy i inne dokumenty, jak list Kazimierza Jagiel. do św. Jana Kapistrana (1451), zapraszający do nawracania prawosławnych oraz list papieża Pawła II, do opata mogilnickiego (1468) mówiący o wzroście na Rusi schyzmy.

Jest ciekawem, że wśród prawosławnych naszego kraju istnieje tradycja, mówiąca o św. królewiczu jak o wielkim prześladowcy *prawosławia*.

Nie jest oczywiście wykluczonem, że św. Kazimierz, wychowanek Długosza, był osobiście zwolennikiem szerzenia katolicyzmu w obrządku łacińskim, ale stąd jeszcze daleko, by św. królewicz był prześladowcą unji, no... i niejako duchowym współnikiem p. Ch. w jego antyunjonistycznej akcji.

niezupełnie zrozumiałe echa cicho wymówionych słów w zamartwych sercach budziły nadzieję.

Partja rosła, potężniała, dojrzewała. Jej działalność coraz szersze obejmowała kręgi, sięgała do głębin mas. Wszyscy, spragnieni światła, lepszego życia, posiadający choć trochę energii do wydobywania się z ogromu fałszu, przechodzili do jej obozu, wstępowali do jej szeregów. Jej wpływ i popularność rosły, lecz równocześnie rosło i niebezpieczeństwo. Zachować konspirację było coraz trudniej. Powtarzane z ust do ust wiadomości o działalności partji, wyciągały ją na powierzchnię bardziej, niż to było potrzebna i poruszały żandarmów. Do szeregów członków partji zaczął się przedostawać ciemny element...

Dojrzała chwila, w której jeden krok miał przynieść zwycięstwo lub straszną katastrofę.

Z lasu kominów nie wznosiły się do góry czarne kłęby. Ponura cisza—przed burzą. W robotniczych dzielnicach ludzie z żółtymi lub sinymi plamami zamiast twarzy, doszli do ostateczności.—Tak

lub owak śmierć — wyjść na ulicę! — rozlegały się elektryzujące słowa...

Jakgdyby ktoś, potężny, lecz niewidzialny, kiwnął ręką i szklane, ozdobne witryny ukryły się za drewnianymi i żelaznymi zasłonami. Dziwnie puste, ciche ulice wśluchiwały się w ledwie dającą się uławić uchem nutę pieśni.

Długa, prosta ulica, po której codzien toczyły się śliczne karety, z których okien wyglądały uroczo uśmiechające się kobiety, w jedwabie odziane, była teraz pełną szarych, odzianych w łachmany, jakgdyby wypędzonych z nor istot.

Nagle z bocznej ulicy wylecieli galopem kozacy i wdarli się w pierwsze szeregi tłumu: poszły w ruch szable. nahajki, kopyta końskie tratowały ludzi. Na bruku wiły się w konwulsjach krwawe z połamanymi żebrami ciała...

Ścinające krew w żyłach krzyki... Panika...

W dalszych szeregach rozległy się strzały. Kilku jeźdźców zachwiało się, jeden koń padł. Fala znów parła naprzód. Że wszystkich stron otoczony oddziałek kozaków utonął we wrzącym tłumie. Reszta po-

W innym artykule („Słowo”, Nr. 245) p. t. „Umniejszanie Żyrowic” p. Ch. pisze:

„Podczas tegorocznego obchodu rocznicy koronacji cudownego obrazu Najświętszej Marii Panny Żyrowickiej pewien ojciec jezuita, obrządku wschodniego wystąpił z przemówieniem, w którym rozwinął myśl, że czem dla Polaków jest Częstochowa, a dla Litwinów (!) Ostra Brama, tem dla Białorusinów (!) były Żyrowice... Słuchacze byli zaskoczeni i zgorzeli, — podniosły nastroj przyl...”

Oburza się autor na nadawanie Żyrowicom charakteru ruskiego, przytaczając przykłady pielgrzymek do cudownego miejsca królów, magnatów i ludu polskiego.

Nikt tego nie zaprzecza, ale czy Częstochowa traci swe znaczenie dla Polski wskutek tego, że odwiedzają ją rzesze katolickie z Litwy i Białorusi?

Wątpliwą wartość mają zachwyty p. Ch. dla przeszłości Żyrowic. Dla każdego, kto pragnie zjednoczenia Kościołów, kto nie jest opętany szowinizmem, jest jasnym, że największym błędem ówczesnej hierarchii unickiej było oddalenie się od ludu i lekceważenie jego mowy. Smutnym było zjawiskiem, że podczas koronacji obrazu w Żyrowicach dla 70515 religijnie nieuświadomionych Rusinów (widocznie ku ich większemu zbudowaniu) odprawiono modły po łacinie, po polsku i... po włosku (!!), a kazania wygłaszano po łacinie i po polsku.

O tych niedomaganach unji brzeskiej wie doskonale i p. Ch., lecz nie o to mu chodzi. Agitacja antyunjonistyczna p. Ch. idzie po linii przeciwstawiania polskiemu charakterowi unji brzeskiej obecnie wprowadzanego obrządku wschodniego. Podkreślając wybitną polskość pierwszej p. Ch. wie jednocześnie doskonale, że gdyby obecna akcja unijna stanęła na stanowisku unji brzeskiej, z tą chwilą musiałaby zwinąć swoje agendy, a to jest właśnie celem p. Ch.

Dla wywołania zaś zaniepokojenia w opinii publicznej p. Ch. puszcza w świat takiego rodzaju wiadomości (ten sam artykuł).

„Stawka na Ukraińców i Białorusinów tak zrozumiała w grze politycznej, zaznacza się dziś w akcji obrządku wschodniego. Odbywa się systematycznie unikanie polskości i podkreślanie ukraińskości czy też białoruskości w sposób nieraz bardzo ryzykowny.

Już wspominałem kiedyś mimochodem o Białoruskim Kalendarzu, redagowanym nie bez udziału o. o.

jezuitów obrządku wschodniego. W kalendarzu tym wiele mówi się o „białoruskiej” unji brzeskiej, o działalności „białoruskich” o. o. jezuitów w Albertynie i t. p. oraz został podany wymowny wykaz chronologiczny ważniejszych w dziejach Białorusi zdarzeń. A więc w r. 1649 odbyło się... powstanie na Białorusi. Jakiś, bliżej niezany białoruski Kościuszko walczył z Polakami na czele narodu białoruskiego... W r. 1918 - cud: proklamowanie białoruskiej sowieckiej republiki rad żołnierskich i robotniczych! W r. 1924 - nowe zdarzenie: założenie w Albertynie klasztoru „białoruskich” o. o. jezuitów!..

Jak Białorusini — katolicy mają pogodzić radość z powodu zorganizowania w Mińsku „białoruskiego” komunistycznego, a więc ateistycznego sowieckiego z pracą misyjną o. o. jezuitów, trudno nawet i wyobrazić sobie, ale to jest niezmiernie charakterystyczne, że dla zdobycia prawosławnych w Polsce, pewni misjonarze gotowi są czule się uśmiechnąć nawet do bezbożników „białoruskich” w Sowietach, byle nie być posądzonymi o stosunki z „trefnymi” Polakami!..

Jak z tego widać, p. Charkiewicz nie cofa się przed zwykłą insynuacją. Nie może p. Ch. bowiem nie wiedzieć, że 25 marca 1918 r. w Mińsku była proklamowana nie sowiecka republika, lecz *narodowa*, o której właśnie wspomina kalendarz. Tę narodową republikę rozpędzili wkrótce bolszewicy. Chcąc jednak skompromitować w oczach społeczeństwa katolickiego działalność Albertyny i wzbudzić niepokój, a może i wywołać interwencję władz, p. Charkiewicz przemilcza o republice narodowej i stara się nawiązać oszczerczą nić między o. o. jezuitami z Albertyna a sowieckim Mińskiem.

Taką oto bronią walczy „katolicki” publicysta...

J. Pozniak.

Z mego notatnika.

Refleksje postronnego obserwatora.

W niedzielę ubiegłą nastąpiło odsłonięcie pomnika Józefa Montwiłła na placu Franciszkańskim w Wilnie z udziałem licznych przedstawicieli władz, miasta i społeczeństwa polskiego.

Duże zasługi Montwiłła dla Wilna, a przede wszystkim dla kultury polskiej w Wilnie są niez-

galopowała z powrotem. Widok uciekających kozaków napełnił serca demonstrantów triumfem; z okrzykami poszli naprzód.

Suchy trzask, jakgdyby pękały orzechy, utonął w morzu okrzyków. Wszyscy, jakby oślepieni, poszli naprzód; z początku nikt nie zauważył rannych, ani zabitych. Lecz jeszcze gęstszy deszcz ołowiu począł kosić, jak trawę...

— Naprzód! Naprzód! — ścieło się i zagotowało. Z tyłu również strzelano. „Okrzyżyli nas, zdrada!” — krzyczał tłum. Starając się przekrzywić wszystko, nadrywały się gardła: „Na lewo do zaułka!” Lecz i stamtąd gwizdnęły kule, pędząc ludzi z powrotem. „W prawo, na aleję!” — głosy, pełne nadziei, wszystkich zwróciły w tę stronę...

Pierwsze szeregi znów stanęły, nie doszedłszy do alei. Stamtąd było słychać również rytmiczny trzask. Zasadka! Lecz nagle kulomiot udławił się, zamilkł. Ludzie, przytuleni do ścian domów, nie śmieli iść dalej, bali się obłudnej ciszy.

Przy alei rozległo się kilka strzałów. We wrotach ukazało się kilka ciemnych figur, kiwano rę-

kami. Ktoś poznał Jonajtisa, poczęto biec do wrot... Aleja zapchała się.

Po pewnym czasie na ulicy pozostały tylko trupy i ciężko ranni, którzy ostrożnie pelzli do bram domów. Czyjaś zręczna ręka wyratowała robotników od rzezi.

Tajne mieszkanie partji było otoczone. Lecz żandarmi, wpadłszy do środka, zawiedli się bardzo. Pusto, cicho. W szufladach — nic! jak wymieciono. Tylko w ostatnim pokoiku znaleźli przy otwartym, już zagastym piecu, człowieka z twarzą, ukrytą w dłoniach. Rozwścieczeni rzucili się na niego, zbili na kwaśne jabłko i półżywego zabrali...

Sama policja przyznała się, że obława jej się nie udała. Żadnej grubszej ryby nie złapano, tylko jakiegoś pospolitego członka partji — Jonajtisa. Zesłano go na Syberję...

przecone. Cały szereg instytucji i organizacji społeczno-kulturalnych polskich, istniejących dotąd, zawdzięcza Montwiłłowi swe powstanie i swój rozwój. Nie mało również się przyczynił zmarły w r. 1911 działacz do rozkwitu i rozbudowy przedwojennego Wilna. Dość wspomnieć elektrownię i kolonje t. zw. domów bankowych na Rosie, na Snipiszkach, na Łukiszkach etc.

Ś. p. Józef Montwiłł był *sui generis* demokratą. W przeciwieństwie do swych kolegów z dyrekcji Banku Ziemińskiego nie zasklepił się w ciasnym środowisku obszarniczem i daleki był od kastowych przesądów. Interesowało go życie miejskie o wiele bardziej, niż gospodarka i sfera ziemiańska. Miał niewątpliwie charakter despotyczny i z przekonania był konserwatystą, ale typu raczej zachodnio-europejskiego, a w każdym razie mocno się różnił od swych utytułowanych lub mających pretensję do arystokracji kolegów.

Owe urbanistyczne skłonności Montwiłła sprawiły zapewne to, że mimo swego pochodzenia ziemiańskiego i mimo swego formalnego związku z rolą (był do końca życia właścicielem majątku w pow. wilkomierskim), na gruncie rodzinnym, wiejskim niczem wybitnym się nie odznaczył. W zaraniu swej działalności społecznej założył spółdzielnię w Szatach, która podobno przyczyniła się znacznie do rozwoju w tej okolicy przemysłu ludowego. Losy miejscowej litewskiej ludności rolniczej mało go później obchodziły. A nie mając stanowych i nacjonalistycznych uprzedzeń mógł niewątpliwie w tej dziedzinie działać wiele pożytecznego, zapisując się wdzięcznie w pamięci społeczeństwa nietylko polskiego, ale i litewskiego.

Gdy uprzytomnimy sobie, że nawet jednostki tej miary i tego pokroju, co ś. p. J. Montwiłł pozostawały dalekimi i obcymi temu otoczeniu, w którym wyrosły i do którego należały z urodzenia, nie możemy się dziwić smutnym konsekwencjom, jakie dotknęły klasę ziemiańską w Litwie etnograficznej.

Tu l'as voulu Georges Dandin! — może sobie powtórzyć dziś tę klasyczną uwagę szlachta polska nad Dubisą i Niewiażą.

Licz.

Na indeksie.

Broszura M. J. Łubieńskiego p. t. „Droga na wschód Rzymu”, której ocenę zamieściliśmy w Nr. 15 naszego pisma, jak donosi KAP, została z rozkazu arcybiskupa warszawskiego kardynała Kakowskiego — zamieszczona na indeksie.

Biedny autor odpokutował nie za własne winy, gdyż twór jego składa się w znacznej mierze ze streszczenia artykułów p. p. Charkiewiczza, Jeśmiana, memorjału ziemian słonimskich etc. Hr. Łubieński zawinił jedynie tem, że zebrał wszystkie te rozproszone głosy w jedno i wyraził im gorące swe uznanie. Właściwi inspiratorzy zaś wyszli cało z opresji.

Co prawda zakaz kard. Kakowskiego obowiązuje tylko w obrębie archidiecezji warszawskiej, autorzy zaś, na których się powołuje hr. Łubieński, przeważnie występują na terenie archidiecezji wileńskiej, ale są to jedynie względy i różnice natury

formalnej. Potępienie broszury hr. Łubieńskiego jest wyrazem stanowiska negatywnego Kościoła wobec każdego, kto zwalcza akcję unijną.

Prawda o ks. Leśnobrodzkim.

W „Dzienniku Kujawskim” znany pisarz katolicki ks. Charszewski przedrukowuje pod powyższym tytułem swój artykuł, zamieszczony jeszcze w r. 1929 w czasopiśmie „Patria”, demaskujący słynnego swego czasu na naszym gruncie „misjonarza” katolickiego, a byłego oficera carskiego ks. Włodzimierza Leśnobrodzkiego.

Ciekawy urywek z tego artykułu przytaczamy poniżej.

Ks. Leśnobrodzki dał się u nas poznać, jako wymowny pogadankowiec. Gra po mistrzowsku na strunach uczuć nietylko katolickich, ale i narodowych polskich i zbiera nietylko burze oklasków, ale nawet i łyż rozrzewnienia.

Ale — gdzież się jakiegoś „ale” nie wkradnie!

Znamienną cechą wygłaszanych pyszną rosyjszczyzną (obecnie już — choć mniej pyszną polszczyzną) i z pamięci pogadanek ks. L. jest ich przedkładanie materiałem anegdotycznym i to fascynującym nadzwyczajnie. Na zarzuty z tego powodu mówca reaguje wysuwaniem względu na popularność i z anegdotyzmu czyni metodę. W istocie jednak anegdota — to wprawdzie jego włosy Samsonowe, ale zarazem i jego pięta Achillesowa.

...Gdy chodzi zwłaszcza o udział Rosji w wojnie światowej o rewolucję bolszewicką, o wojnę z nią Denikinów, Kołczaków i Judeniczów, o rolę masonerji w tem wszystkim, o czerezwyczajkę itp. skupia on anegdoty, jak magnes opilkę żelazną, około własnej osoby, jeśli nie w roli bohatera, to w roli świadka, tak obficie, że już samo to, czyniąc zeń postać legendarną i niemal cudowną, jakiegoś nowoczesnego Ilję Muromca, budzi podejrzenie. Że zaś ono jest słuszne — oto kapitalny dowód.

W jednej z pogadanek, obwożonych po dawnym zaborze rosyjskim — tylko ze względu na język rosyjski (od lat paru już i po innych dzielnicach, gdy ks. L. opanował już polszczyznę) — ks. L. opowiada m. inn. o męczeńskiej śmierci Szambelana papieskiego i kanonika ks. Kaz. Propoljanisa (za czasów rosyjskich był on rektorem polskiego kościoła św. Stanisława w Rzymie), z ręki czekistki — Żydówki w Mińsku. Rzekomo był jej świadkiem.

Nie wątpię narazie o samym tym wypadku. Już przedtem czytałem to samo w powieści Bressko-Breszkowskiego p. t. „Pokonani zwycięzcy” w rozdziale osobnym zatytułowanym: „Szambelan Rogo Świątobliwości kanonik Propoljanis”. Zainterpelowałem przeto prywatnie „ks. generała” tylko co do okoliczności jego świadectwa. Według bowiem swego własnego opowiadania ks. L. zbiegł z kraju wielkich Z. S. R. R. ańców przed wojną bolszewicko-polską, w której wziął udział po stronie polskiej; rzekome zaś męczeństwo, jak wynika z danych, zawartych w owej powieści, dokonało się już w r. 1925. W odpowiedzi usłyszałem nieprawdopodobną anegdotę o przekradzeniu się ks. L. do Z. S. R. R. i wstąpieniu dla celów wywiadowczych do armji czerwonej. Przytem, dla uprawdopodobnienia tej anegdoty, do publicznej w pogadance opowieści o tem rzekomem bohaterskim męczeństwie dodał szczegół koprologiczny, nie nadający się do publicz-

